

Co sływać

W poprzednim numerze *M-S-N* pisałem w tym miejscu jakieś wesołe i pełne optymizmu na przyszłość historyjki. Tym razem jednak będzie w zupełnie innym tonie.

Zacznijmy od sprawy kolegów nauczycielskich. Rzeczywiście, tak, jak to było zapowiedziane poprzednim razem, odpowiednie organa Rady Europy, niosące oświecenie dzikim ludom Europy (?) Wschodniej, powołały na konsultantkę naszą koleżankę OKMowską, Zofię Muzyczkę. Konsultantek było dwie, był też jeden biały pan (z Anglii), który stosowny tekst, pouczający nas, jak mamy akredytować nasze kolegia (i coś tam jeszcze z nimi robić), napisał. Odbyla się nawet trzydniowa konferencja, na której rzeczony biały pan – no bo chyba nie brat? – wypełnił (piszę wg programu) ponad 60% czasu (naprawdę to tak nie było, bo nie było czym wypełniać; płaci się jednak od godziny). I nie byłoby o czym mówić – w końcu to, jak Rada Europy wydaje swoje (zresztą niemałe) pieniądze, jest jej wewnętrzną sprawą, gdyby nie fakt, że było to jedyne działanie, jakie nowy MEN i jego zbrojne ramię – CODN – podjęły w kwestii kolegów przez pół roku. A tymczasem zapowiedziano, że w kwestii kolegów, to nic do końca nie wiadomo – może będą, może nie, może samodzielne, może kuratorskie, może jako filie wyższych uczelni (bo, jak wiadomo, filii ma nie być, chyba, żeby je właśnie wprowadzić). Jak widać logika dwuwartościowa jest w takich sprawach ostatnio bezsensownym przeżytkiem. Oczywiście, można zawsze starać się robić swoje i wzruszać ramionami na działania władz.

I nawet na pewno tak trzeba robić. Tyle, że mnie przypomniało to przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, czyli czasy Władysława Gomułki. Cokolwiek się wtedy robiło, robiło się to wbrew. Przy czym nie było dokładnie wiadomo wbrew czemu, gdyż tzw. polityka władz w żadnej sprawie nie była określona w sposób dostępny dla ogółu, lub choćby zainteresowanych. Miałem wtedy, rzecz jasna, o te trzydzieści parę lat mniej i sądziłem, że moje wrażenie mrocznego, nieokreślonego chaosu bierze się stąd, iż nie jestem w stanie ogarnąć głębi zamierzeń sterników państwowej floty, a nawet sterników towarzyszącej jej flotyli prowincjonalnych krypt. Dziś wiem, że poza chęcią stania za sterem (nawet nie koniecznie po to, by pobierać stosowne gratyfikacje różnej natury) nic w głowinach ówczesnych luminarzy nie było – stosownym słowem jest tu istotnie głębia, gdyż słowo to można odczytywać w żeńskiej, ale też i męskiej wersji.

Jako się rzekło, wszystko było wbrew, ale nie sposób było dookreślić wbrew czemu. Wywoływało to politykę zamrażania każdej działalności, przemieniania ludzi – jak w bajce – w nieruchome glazy. Sam np. od marca do września 1961 roku miałem zakaz bywania w miejscu pracy (chyba, że przyszedłem do kasy po pieniądze) i utrzymywania kontaktów z pozawarszawskimi współpracownikami (to jest bardzo trudno sprawdzić i tak właśnie rodziło się pierwsze popaździernikowe podziemie). Jak widać ogarnęły mnie wspomnienia z młodości, ale ośmielałem się nimi zawracać głowę, gdyż tak według mnie wygląda perspektywa rozwoju naszego kraju przez najbliższe dziesięciolecie – kompletna niejasność zamierzeń i chaotyczna realizacja jakichś przypadkowych obsesji jakichś przypadkowo dopuszczonych do grona sterników indywidualistów. W ten właśnie sposób została w połowie lat sześćdziesiątych rozpoczęta budowa Polskiej Akademii Pedagogicznej (z powstałych wówczas sześciu instytutów kilka do dziś egzystuje) i – szczególnie dotkliwa w matematyce – zamiana szkolnego nauczania jedenastoletniego na dwunastoletnie (oczywiście, żeby było konsekwentnie, pod hasłem tworzenia dziesięciolatki).

I tym sposobem niechcący pojawił się drugi temat – reforma szkolna. To jest temat o wiele poważniejszy, niż kolegia. A to ze względu na ewentualną liczbę ofiar. W tej sprawie też – ponoć – należy nic nie robić, twierdząc, że jest to intensyfikacja starań. Tu jakieś faktyczne działanie samozachowawcze powinno być podjęte. Początek bowiem przemian – czyli destrukcja – został dokonany.

Tej sprawie jednak poświęcone są trzy otwierające ten numer artykuły, więc nie będę się o tym rozpisywać, prosząc jedynie Czytelników, by łaskawie zechcieli przeczytać je wszystkie, gdyż (chyba) dopiero razem stawiają one w pełni problem.

Oczywiście, co zresztą już deklarowałem w tym tekście, należy robić swoje. I faktycznie podstawowa działalność „statutowa” tej części środowiska, która chce znaleźć miejsce dla matematyki we współczesnej kulturze i cywilizacji, się toczy. Staramy się uspokoić wyrzuty sumienia tych wszystkich, którym się zdaje, że gdybyśmy dali społeczeństwu dwa razy więcej rzeczy (albo trzy), niż dajemy, to miejsce matematyki w świadomości od tego by się poprawiło. Tymczasem trzeba zdać sobie sprawę, że technika zdradziła nas z przystojniejszym (chyba) i bogatszym (na pewno) komputerem. I musimy wobec tego ułożyć sobie samotne życie, bo zbyt nachalne poszukiwanie kolejnego partnera może być źle widziane. Tym bardziej, że nasze przyjaciółki – nauki przyrodnicze – też urodą komputera dały się urzec i w naszym towarzystwie są nieco znudzone. Trzeba więc jakoś inaczej i nie na siłę.

Ta romantyczna frazeologia bierze się stąd, że usłyszałem ją (co prawda w zupełnie innym kontekście) właśnie w odniesieniu do działalności OKM i to od dwóch, jak mi się wydaje, zupełnie różnych osób. Mianowicie pewne OKMowskie działania zostały przekazane tzw. poważnym instytucjom, gdyż – jak się nam zdawało – zapewni im to stabilny byt, co wobec tego barbarzyństwa, które jest nazywane niewidzialną ręką rynku, jest istotne. I tak, mniej bezpośrednio sterujemy samodoskonaleniem i wzajemnymi konsultacjami kadry kolegiów. Całkiem przekazaliśmy natomiast (Instytutowi Matematyki Uniwersytetu Warszawskiego) prowadzenie dużych szkół matematyki pogładowej dla nauczycieli szkolnych. I oba te przedsięwzięcia jakby zmieniły charakter, co jest szczególnie widoczne w przypadku szkół. Spotkań jest więcej, są one równomierniej rozłożone i (podobno) bardzo miłe. Ale w żadnym przypadku nie stwarzają one szansy na kontynuację wydawania książek takich, jak *Szkoła geometrii, odczyty kaliskie*. I gdy dopytywałem się dlaczego (bo mnie to zaskoczyło i zaniepokoiło) dowiedziałem się, że jest to jak miłość: to się przeżywa, a nie odpracowuje, na to się natrafia i nie wolno tego przegapić, ale nie da się tego zorganizować.

Wszystko to być może prawda. Jeśli przyjrzeć się początkom działalności OKM, to też były one inne, niż jest działalność dzisiejsza. Jednak nie warto chyba bezwolnie czekać, aż jakaś kolejna wiosna przyniesie nam nowe serdeczne wzruszenia. Przecież to i owo udało się przez kilka lat zrobić, udało się też w tej, czy innej sprawie poruszyć serca kilkudziesięciu co najmniej ludzi. I to nie stało się samo. Może więc nie trzeba zwalać na zesłany przez dobre elfy nastrój tego, co się robi. Może istnieje do tego ulotnego świata nastrojów jego niezbędne uzupełnienie, które nazywa się wola, i które uzewnętrznia się jako – dziś odsądzana od czci i wiary – ideologia: zgodna wola wspólnego działania?

M. K.